

W mieście, którego nie ma

Na zgłiszczach Irunu

Wysłannik „Je suis partout” przedostał się do Irunu w parę dni po morderczej walce, jaka się tam rozegrała.

W okolicznych miasteczkach i wioskach panuje w tej chwili nastroj radosnego podniecenia.

W Miranda odbywają się pochody ze sztandarami i muzyką. Pojawienie się zwycięzców z pod Irunu wywołuje entuzjastyczne okrzyki tłumy. Ze wszystkich pierśi wyrwa się pieśń karlistów. Cała bowiem okolica Irunu jest domeną rojalistów.

Im bliżej Irunu, tem bardziej krajobraz przypomina ponure pejzaże wojenne. W Vera pełno ambulansów i wojskowych samochodów. Wzdłuż toru kolejowego, biegnącego w kierunku Bidassara, ciągną pielgrzymki uchodźców. Na tle pogodnego nieba rysuje się chłński cieniem rzyślet zerwanego mostu. Co krok otwiera się w ziemi głęboka wyrwa. To wspomnienie kanonady, która zamieniła urodzajne pola i wioski w jedno wielkie rumowisko. Gdzieś tam widać prymitywne rowy strzeleckie, przykryte gałęziami, osłonięte materacami lub workami z piaskiem. Na gałęzi strzaskanego drzewa wisi skrawiony beret milicjanta. W Behobii sterczą mury zburzonych domów. Ocalał jedynie budynek komory celnej. Dziwne wrażenie sprawiają owe ściany z otworami okien, podobne do starych dekoracji teatrów. Na chodnikach walają się skrwawione szmaty, stare sienniki, pogięte naczyń kuchenne i połamane stołki. Trzeba sobie torować drogę wśród barykad, utworzonych przez szczątki samochodów.

Widok Irunu, a raczej tego, co zostało z kwitnącego miasta, — budzi grozę. Na głównej ulicy widać jedy-

nie zgłiszcz domów, stopy żelazstwa i napół zwęglonych desek.

Miasto Irun zamieniło się w jedno olbrzymie pogorzelisko. Spadł na nie przecież deszcz pocisków i tysiące bomb, rzuconych przez pilotów. Anarchiści w obliczu klęski postanowili spalić te domy, które ocalały podczas bombardowania. Grupy podpalaczy przebiegały ulice z płonącymi żagwiami. W jednym z niewielu ocalałych domów znaleziono w przedsiomku stos łatwopalnych materiałów, obanych benzyną. Widocznie nie zdążono ich podpać.

Wiadomo już, że do pogranicznego miasta Hendaye wbiegło tysiące marksistów. Zdążyli oni jednak przed zbiorową ucieczką spiądrować mieszkania bogatszych obywateli oraz banki. Pewien Francuz i dwu Amerykanów zeznało pod przysięgą, że widzieli wśród uchodźców milicjantów, obarczonych workami, pełnymi banknotów. Również i powstańcy znaleźli u wziętych do niewoli milicjantów olbrzymie sumy pieniędzy i wiele kosztowności.

W tragicznym mieście Irunie nie widać żywego ducha, prócz żołnierzy, pełniących straż przy niektórych domach. Na ulicach nocami włóczę się bezdomne psy i koty. Na placu targowym na stosie połamanych sprzętów i skrawionych łachmanów stoi skrawiony z kanarkiem.

Droga, wiodąca na dworzec, zasypana jest butelkami od szampa i koniaków, pustymi pudełkami od cygar. Odbiwały się tutaj widocznie wesole uczty na cześć rewolucji. Na peronie stoi rząd wagonów z potłuczonymi szybami. W poczekalni znaleziono gramofon, zapasy konserw i kilkadziesiąt pustych butelek. Musiało się tutaj także odbyć jakieś dzikie auto-da-fé, gdyż na torze czernieją szczątki spalono-

nych gazet i książek. Ocalała jedynie książka Ossendowskiego „El fuego en el desierto”.

Nagle wyrasta z pod ziemi jakiś cywil. Jak się okazuje, jest to jedyny urzędnik, niższy funkcjonariusz kolejowy, który przetrwał całe oblężenie, pilnując „sprzętu kolejowego”. Mieszkał na dworcu z żoną i córeczką. Przeszedł okropne chwile. Jeden z pocisków rozerwał się w ogródku, pod oknami jego mieszkania, inny zniszczył pociąg pancerny, który odbywał wypad do Behobii. Najstraszniejsze były noce, gdy na dworcu, pogrążony w ciemnościach, spał się grad pocisków. W pewnej odległości od peronu stoi pułmanowski pociąg. Jest to ostatni sud-express, który przybył szczęśliwie do Irunu.

Przed składem kolejowym stoi wartownik z karabinem na ramieniu i w berecie „powstańca”. Jest to ambasador hiszpański, hrabia Terrallanos, który zaciągnął się do armii powstańczej. Takich ochotników armia generała Franco liczy tysiące.

WE FONTARABII

— Jesteśmy pierwszymi „tury- stami”, — pisze Chaminade, — którzy weszli do Fontarabii po jej zdobyciu przez powstańców.

W przeciwieństwie do Irunu nie widać tutaj pogorzelisk, ani zburzonych domów. Dziwne jednak wrażenie sprawia piękne miasto, w którym nie ma zupełnie mieszkańców. Panuje tutaj niesamowita cisza. Domy pozostawiają okna żaluzjami.

Nagle — jak na skinięcie różdżki czarnoksiężkiej — zaczyna dzwonić wszystkie dzwony, a na wieży ukazują się żółto-czerwony sztandar. Fort Guadelupy należy już do powstańców. Mija chwila nieskończenie długa.

Z za węgla domu wysuwają się trzej mężczyźni. Wyglądają, jak włóczęgi. Są mizerni, obrośnięci,

w oczach ich czai się śmiertelny lek.

To trzej więźniowie komuny, którym udało się uciec z kazamat — markiz Fauli, komendant Alaman i senor Lizarraturu. Od zeszłego piątku błądzili oni po okolicznych polach, kryjąc się w rowach i w zaroślach — zgłodniali i zziębnięci.

Miesiąc temu wtrącono ich do lochu, pełnego wody, która sięgała im do kostek. Zamiast łóżek dano im skrzynie od amunicji. Codziennie grożono im śmiercią i urządzano fałszywe egzekucje. Ilekroć otwierali się odzwia więzienia, skazańcy przygotowywali się na śmierć.

W piątek w południe rozległy się jakieś krzyki i hałasy. Do lochu wtargnęło kilku milicjantów. Wyprowadzono skazańców na podwórze, gdzie tłoczyli się liczni „dygnitarze” komuny. Dyskutowano nad czymś z zapalem. W pewnej chwili wywołano czterech więźniów — syna b. premiera Mauro, słynnego adwokata z Madrytu i b. ministra Matos, oraz dwu wybitnych przywódców powstania. Rozstrzelano ich w obecności innych więźniów. W dwie godziny później na tym samym podwórzu rozstrzelano 11 zakładników. Z niewiadomej przyczyny powstało nagle takie zamieszanie, że trzej wyżej wymienieni skazańcy zdolał zmilic czujność strażników i uciekli z więzienia.

Możnaby tomy pisać o martyrologii Hiszpanów...



W ubiegłą niedzielę...

W niedzielę siła gości zjechała. Bo to i doniosłe uroczystości Piotra Skargi z jednoczesnym kopsaniem piłki nożnej i ściganiem się cyklistów słowem, tak, żeby, owszem pogłębić i uszlachetnić dusze... ale nie zanadto. Co się ty- czyło piłki, to zbrakło nam jednego, celnego kopniaka. Pewnie znowu nam weszła w paradę ta niepo- prawna, polska kurtuazja.

Gościwność z jaką przyjmowali śmy naszych miłych przyjaciół z Zachodu (tym razem Niemców — nie Francuzów — proszę nie my- lić!) manifestowała się na każ- dym kroku.

Widziałem na mieście dużo ob- jaśniających szyldów w języku niemieckim.

Bo Niemiec to taki nieśmiały i nierozgarnięty człeczyzna, że cho- ciał widzi siedzących ludzi przy stolikach i pijących kawę a nad nimi napis Café... to jeszcze mu nie wystarcza — trzeba ko- niecznie umieścić napis „Kaffee- haus” albo „Konditorei” — wte- dy dopiero uwierzy.

To samo z barami: Niemiec wi- dzi wprawdzie, że siedzą typy przy kufkach napelnionych żółtą,

pieniącą się cieczą. Ale nie do- myśli się, że to piwo. Trzeba mu pisać po niemiecku — „Bier”. Tacy są jacyś nieporadni. To też wzruszyła mnie nasza uprze- mość i te napisy, tembardziej, że przypomnieli mi moje dzieciństwo — rok 1916 — 1918, czasy Be- selera. A propos warto przy- pomnieć sobie i zapamiętać słowa Piotra Skargi:

„A co nagorzę — skąd bliskie i nagle niebezpieczeństwo... bli- skie i co rok bliższe tyrana tego sąsiedztwo we wrota nasze już pogląda; pokój z nim niepewny, ani trwały: gdy czas lada który, upatrzy, uciśnie was, nie wiem, jako do wojny takiej gotowych, i pod niewolę swoją, uchwaj Bo- że, podbiję! Jakie skarby pospolite (państwowe) macie, jakiego żołnierza, jako opatrzone zamki i żywności, to lepiej sami wiecie”.

Narazie goście rozjechali się do swoich pieleszy.

Minał tydzień Warszawy. W ostatnich dniach tak wielki był ruch pojazdów, że trudno było przejść przez ulicę. Przyjezdni z prowincji będą opowiadać znajomym, że Warszawa to Londyn. Ale przecież to oni sami tego ru- chu narobili. Teraz kiedy się roz- jechali, jest znowu smutno i pu- sto. Czasem w oddali prześwieca się jakaś dorożka, czasem spó- niony cyklista, ot i cały ruch wielkomijski. Jur.

Heroizm katolików

walczących w Hiszpanii

W ubiegłym tygodniu radiowa stacja watykańska nadała specjalną audycję w głównych języ- kach, poświęconą sprawie prze- budzenia religijnego, które daje się zauważyć w obecnych zmaganiach katolików hiszpańskich z zarządem komunistycznym. Podane zostały charakterystyczne przy- kłady wykazujące niezwykły heroizm obrońców wiary w Hiszpanii. Jeżeli z jednej strony noto- wane są niebawem okrucieństwa komunistów, graniczące z sata- nizmem, to z drugiej strony wzmagają się heroizm i poświęce- nie powstańców.

Fakty potwierdzają, po czy- jej stronie okazuje się podłość, brak charakteru i wszelkich za- sad uczciwości — a po czyjej poświęcenie i wspaniałomyślność.

Ta rozprawa decydująca wy-

prowadziła na wierzch najgłębsze pokłady dusz ludzkich. Świat zobaczył, czym wibruje psychika ludzka, nasycona dok- tryną Marxa, jak krwiożercza staje się tłuszcza, kierowana je- dynie materialnymi pobudkami — a z drugiej do jakiego poświę- cenia i szlachetnego idealizmu zdolny jest człowiek, posiadający żywą wiarę w Boga, przed którym za każdy swój czyn odpowia- damy. Widzimy po stronie tych, co w obronie wiary idą do boju, takie przykłady:

Chłopiec 16-letni, ochotnik armii powstańczej, żegnając się przed bitwą ze swą matką, po- wiada: „Mamo, nie módl się, abym wrócił cało do domu, ale módl się, aby w Hiszpanii komunizm został zniszczony i aby Pan Bóg nie był więcej w tak strasz- liwy sposób obrażany... Aby to

nastąpiło, gotów jestem życie swoje oddać w ofierze”.

I to nie jest wyjątek. Całe za- stępy powstańców idących w bój z czerwoną miłcją w obronie wiary i cywilizacji, owiane są takim duchem heroizmu. Na jed- nym ze sztandarów wojskowych wypisali powstańcy hasło: „Naj- pierw obrona wiary, a potem wszystko inne!” Niektórzy z po- wstańców noszą na piersiach wyhaftowane Serce Jezusa. Są to żołnierze Chrystusowi bohaterzy. Całe miasta ogarnia entu- zjazm religijny.

Jeżeli powstańcom uda się zwyciężyć komunizm — na co się zanoszą — to w Hiszpanii nastąpi okres rozkwitu heroizmu religij- nego, jakiego dotąd nie było. Tak to ze krwi męczenników, z jęków katowanych ofiar powstaje po- siew nowego życia.

HUMOR

NA RINGU

Jeden z widzów na meczu bok- serskim promienieje z radości. — Boks jest cudownym spor- tem!

— Pan też jest bokserem? — Nie dentystą!

(Mercury)

W SĄDZIE

Sędzia: — Co, już znowu tutaj? Mówiłem wam przecież ostatnio, że nie chcę was tutaj oglądać!

Włóczęga: — Tak, panie sę- dzio, powtórzyłem to policjantowi, ale on nie chciał mi uwierzyć!

(Le Rire)

ERYK KAESTNER

55)

„ZAGINIONA MINIATURA”

Tłumaczyła Magdalena Samozwaniec.

— Proszę bardzo! — Pan Kuhlewein okrągłym gestem wręczył pakietek staremu kolekcjonerowi.

Pan Steinhövel nerwowo rozpakował paczkę i otworzył dREW- niane pudełko.

— Miniatura — szepnęła panna Smutny.

Stary kolekcjoner wyciągnął lupę z kieszeni, poddał miniaturę krótkiemu badaniu. oparł się o poręcz krzesła i bąknął: — Nie do wiary! To jest oryginał!

— A no więc! — rzekł generalny dyrektor. Z uśmiechem zwró- cił się do prokurenta. — Państwo nie chcieli wierzyć, że miniatu- ra znajduje się u nas i twierdzili, że ów pakietek został przed go- dziną skradziony, a złodziej taksówką uganiał się po całym Berli- nie. — Ubawiony podciągnął wysoko brwi do góry. — Drogi panie Klapproth, niech no pan nam powie, jak dawno znajduje się owa paczuszka w naszym ogniotrwałym sefie, czekając na swojego pana?

Prokurent pochylił się zlekka na przód i rzekł przyciszonym głosem: — od jakiejś pół godziny...

Generalny dyrektor „Ubetowa” podskoczył z przerażeniem na krześle. — Co pan nam tu opowiada? Jakto? więc zaledwie od pół godziny? Niech pan nam tu przyśle urzędnika, który się tą sprawą zajmował!

Prokurent Klapproth szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

Pan Kuhlewein począł wielkimi krokami odmierzać obwód

pięknego, miękkiego dywanu, leżącego na podłodze. Od czasu do czasu przystawał, groźny wzrok wpijając w drzwi. — Muszą pań- stwo wybaczyć — zaczął — ale doprawdy ja się czuję jakgdybym...

— „Z obłoków spadł — podsunął Kule.

Generalny dyrektor uśmiechnął się gorzko. — Otóż to. Przed pół godziną dowiedziałem się — ciągnął dalej — że pan Steinhö- vel przyniósł tu, żeby miniaturę odebrać. Gdy pan ukazał się w towarzystwie komisarza policji kryminalnej, zdziwiłem się nie- co. Teraz zaś mam wrażenie, że jeszcze do zdziwienia będę miał więcej okazji.

— Nie daj Boże! — jęknął Kule — ani panu — ani nam. Niech pan lepiej zawczasu usiądzie, panie dyrektorze. To nigdy nie zaszkodzi! Poczem zwrócił się do panny Smutny. — Mam wra- żenie, że dostałem pałkę w łeb! Czy to naprawdę jest oryginał? A może to jakaś nowa teoria?

— To jest napewno oryginał — rzekł pan Steinhövel — i je- dyna pewna rzecz obecnie.

Drzwi otwały się i jakiś młodzieniec wszedł do pokoju.

— Przedstawię państwu jednego z naszych subdyrektorów — rzekł pan Kuhlewein nieprzychylnie. — On zna całą sprawę.

Młodzieniec, który znał całą sprawę, skłonił się i przystąpił bliżej. Był to Joachim Seiler.

Oprócz Ireny Smutny, nikt spoczątku nie mógł zrozumieć dla- czego papa Kule podskoczył i jak indjanin począł koło owego mło- dego człowieka wykonywać dzikie tańce.

Krzesło przewróciło się. — Hurra! — zawołał Kule, przytulając subdyrektora „Ubetowa”, do swojej piersi. — Brawo, mój chłop- cie! — ryczał. — Ale żeby nas tak nabrać! Pan jest morowiec! — Począł śmiać się donośnie. — Ja odrzuć mówiłem, że pan jest tym właściwym bandytą! — Poczem obrócił się i z dumą wskazując na pana Seilera, rzekł: — To jest on, moi panowie! to on!

— Kto taki? — zapytał generalny dyrektor.

— Rozchodzi się o człowieka, który akurat przed godziną, zabrał miniaturę z mieszkania pana Kulca — objaśnił komisarz.

— Na miły Bóg! — mruknął generalny dyrektor. Miało się wra- żenie, że słyhać jak mu mrówki łążą po grzbiecie. — Panie Seiler, więc pan jest złodziejem? — zamamrotał.

Młody człowiek zmieszany, ruszył ramionami. — Musiałem nim być! Drogi panie Kule — zwrócił się do masarza. Przy świadkach, proszę pana o pozwolenie okradania pańskiego mieszkania!

— Ile razy pan sobie życzy, drogi chłopcze! — zawołał Kule. — Tak się cieszę, że pan tylko ściągą — a nie kradnie!

— To jest dosyć skomplikowana historia! — rzekł Joachim Sei- ler. — Mam wrażenie, że policja przyłapała w moim mieszkaniu tylko część bandy. Do pana fabryki kielbas, papo Kule, poszedłem nie będąc wcale pewnym, czy znajdę tam miniaturę. Równie dobrze mogła zajeżdżać do willi pana Steinhöwla. Odnalazłem ją jednak w pokoiku za sklepem, wiszącą nad ceratową kanapą.

Stary kolekcjoner zamyślił się, poczem rzekł: — Czy pan zda- wał sobie sprawę, że w Warnemünde skradł pan nie oryginał, lecz kopję? Czy też było to z pańskiej strony przeoczenie?

Generalny dyrektor pan Kuhlewein z trudem złapał powietrze. — Jakto? Wpę w Warnemünde nasz pan Seiler także kradł?

— No tak, — rzekł młodzieniec, spuszczać skromnie oczy. — Musiało to być! Nie zawsze można postępować tak, jakby się chcia- ło. Gdy światło na dancingu zgasio, nie można już było operować w rękawiczkach. Wyrwałem więc pannie Smutny torebkę, schwyli- łem miniaturę i uciekłem z nią.

Komisarz spojrział na delikwenta podejrziwie. — Jak to się więc stało, że chociaż pan ukradł oryginał, jednak w pańskim miesz- kaniu znaleźliśmy kopję? W każdym razie należy się panu nasza wdzięczność, że nam pan tę złodziejską bandę wydał w ręce!

A

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony, 666-68 (sekretariat) 666-99 (ogólny). Sekretarz re- dakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11-12.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgo- wość i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.
745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa,
PRZEDSIĄWICIELSTWA: Piotrków Irybunalski, Słowackiego 8, tel. 50,
PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i na prowincji zł.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal- ty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr. na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.60 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekar- skie — 30 gr. Nekrologia po 2 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a luster druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunika- ty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.
Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.